

Jac Po

BAJKA NIE TYLKO O JAJKACH

Żyły sobie kiedyś kury. Były to kury domowe. Miały swój kurnik, swój mały świat, swoje kurze życie. Nikomu nie stawały na zawadzie. Nie rozdrapywały nie swoich ran. Nie stroiły się w cudze piórka. Ot, jak to kury, miały w zwyczaju chodzić po podwórzu, lubiły pogdakać na kurze tematy, czasem któraś sobie podfrunęła parę metrów i tyle. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie właściciel kurnika i całego podwórza, chłop Maciuła. A także jego żona, gruba Maciułowa. I ich dzieci, głupkowate Maciułeta.

Kury, jak to kobiety, bardzo pragnęły mieć dzieci. Słodkie, żółte kurczaczki, puszyste kuleczki. W tym celu panie kury znosiły jajka. Cóż z tego jednak, skoro gruba Maciułowa codziennie wysyłała tyralierę swoich bachorów, które przeczesywały cały teren i bezbłędnie wynajdywały poukrywane w najbardziej niedostępnych miejscach jajka. Zabierały je, czasem jeszcze ciepłe, żeby je potem bezwstydnie zjeść. Takie to były, niestety, Maciułeta. Małe potwory, kurczątkozercy, a nie dzieci!

Najgorsze były soboty. Maciuła, znany brudas i pijak, mył się wtedy pod pachami na niedzielę, kiedy to wybierał się do kościoła. Ale przedtem jeszcze, w sobotnie popołudnie, upatrywał sobie jakąś kurę i biegał za nią po podwórzu, tupiąc gumofilcami, aż dżdżownicom i kretom pod ziemią książki spadały z półek. Kury wiedziały, co się święci, i w soboty już od rana starały się znaleźć sobie jakąś kryjówkę. Niestety, było to daremne. Na podwórzu Maciuli panował wprawdzie taki bałagan, że Maciułowa od tygodnia nie mogła odnaleźć swoich kobylich pończoch, które z niej spadły jak Maciuła brał ją ostatnim razem pod włos na przyzbie kompostu. Ale odkąd stworzono *google maps* gospodarz tego bałaganu znał go równie dobrze jak własne dzieci, które, nawiasem mówiąc, nie wszystkie były jego. Uganiał się zatem Maciuła ze smartfonem, a nieraz też wspólnie ze swoimi bachorami, za upatrzoną ofiarą, aż zapędził ją w kozi róg. Następnie niósł struchlałą kurę pod pachą na miejsce egzekucji. Każda uprowadzona kura wiedziała, co ją czeka i rozdzierając krzyczała, żegnając się ze światem. Ko-ko-dak! Jak to tak?! Ko-ko-daaak! Na szczęście pozostałe kury nie widziały tego, co działo się następnie w komórce, w której zniknął Maciuła z branką. Słyszały tylko, że w pewnej chwili krzyk cichnie jak ucięty siekierą i widziały później, jak jedno z Maciułat wynosi z komórki nieruchome ciało

z krwawą plamą w miejscu, gdzie jeszcze niedawno była głowa, która tak się lubiła przekrzywiać, i zabawne, zawsze nieco zdziwione kurze oczy. Na całym życiu kur, które mogło być życiem beztroskim i szczęśliwym, kładły się cieniem te mordercze sobotnie seanse.

W niedzielę po południu cała rodzina, tj. umyty pod pachami Maciula, gruba jak smok Maciulowa i Maciułeta poubierane w białe rajtuzy naciągnięte pod brody, wracali z kościoła i zasiadali do stołu. Jedli rosół z zabitej przez Maciułę kury, a potem samą tę kurę, niczym jacyś kanibale! A tak im to smakowało, że aż im przy tym glutu ciekły z nosa, z łakomstwa. Gluty spływały im po brodach prościutko do rosółu, ale oni tego nie zauważali, tak byli pochłonięci jedzeniem. Klócili się też zawsze, jaką część ciała kury kto ma zjeść. Urządzali przy tym prawie że olimpiady, np. Maciulowa chowała za plecami w spoczonej garści jakąś część kurzych zwłok i kazała zgadywać: skrzydełko czy nóżka? A zjadali wszystko, nawet żołądek i serce, nawet, za przeproszeniem, kurzą dupę, nie brzydzili się niczym.

W społeczeństwie kur sobota od dawien dawna jest Dniem Kaźni. Niedziela jest u nich Dniem Żałoby, kiedy wszystkie kury oplakują utraconą przyjaciółkę. Ale od pewnego czasu poniedziałek kury świętują jako Dzień Gniewu. Lepiej nie wchodzić do kurnika w poniedziałek, drogą dzieci, radzę Wam. Opowiem teraz, jak poniedziałek przestał być zwykłym poniedziałkiem, a stał się Dniem Gniewu.

Żył w kurniku u zasmarkańca Maciuli razem z kurami kogut Behemot. Co ja mówię: kogut. Szatan, nie kogut! Umiał tak sprytnie dziobnąć Maciulową w jej opasłe, rozlewne siedzenie, że była przekonana, że to guma w majtach jej strzeliła. Jak kiedyś do kurnika zakradł się lis, Behemot tak mu pogonił kota, że lis wlaźł na płotek i zaczął mrugać na koguta porozumiewawczo, że niby, miauu-miauu, miał właśnie iść zapolować na myszy, a do kurnika trafił przez pomyłkę. Behemot był dżentelmenem. Jedna kura była ślepa i kiedy chodziła po podwórzu, Behemot tak podsuwał jej ziarno pod dziób, że zawsze je znalazła. Wszystkie kury z wyjątkiem tej ślepej były w Behemota zapatrzone i, nie ma co kryć, niejedna się w nim podkochiwała. Niejedna też marzyła o żółtej, pulchnej i rozkosznej kuleczce na małych nóżkach, dla której sama byłaby mamą, a Behemot tatą. Natomiast Behemot żadnej kurze nie poświęcał tyle uwagi i nie okazywał takich względów, jak Esterze. Znosił dla niej najlepsze ziarna, jakie potrafił wygrzebać z ziemi. Kiedy zasypiała na grzędzie, długo wpatrywał się w jej złocisto-bordowe piórka, aż wreszcie sam zasypiał z jej obrazem pod

powiekami. Pisał też dla niej wiersze, stworzył cały cykl poetycki zatytułowany „Rwie się serce ku Esterce”, w którym piał z zachwytu nad jej urodą, ale że ba-
zgrał jak kura pazurem, wstydził się jej swoje poezje pokazać.

Od pewnego czasu Behemot zaobserwował, że oko Maciuli wybierającego najdorodniejszą z kur na sobotnią ofiarę, coraz częściej pada na Esterę. Było to tak, jakby sama śmierć spoglądała na jego ukochaną i stało się jasne, że dni Estery są policzone. Jasne dla wszystkich, ale nie dla Behemota. Każdy inny kogut pogodziłby się z losem i pogrążyłby się w depresji. Lecz Behemot był doprawdy kogutem wśród kogutów. Postanowił rzucić wyzwanie losowi i stanąć dziób w dziób z przeznaczeniem. Przez ładnych parę dni zniknął gdzieś na dłużej. Mogę Wam nawet powiedzieć, gdzie, bo wiem. Otóż tak konkretnie to zniknął w psiej budzie. Pewnej nocy tak długo kuł dziobem w łańcuch, na którym uwięzany wiódł niewolniczy żywot poczciwy Burek, aż łańcuch pękł. Uwolnione psisko polizało Behemota z wdzięczności i popędziło prosto przed siebie, a takie było szczęśliwe, że zatrzymało się dopiero w Argentynie. „Jakieś Żydy psa mi ukradli”, zdziwił się rano Maciuła, ale do budy nie zajrzał, bo był na to za głupi. Tymczasem w budzie, pod warstwą słomy ukryte było coś, przy czym Behemot w skrytości majstrował, kiedy tylko miał wolną chwilę.

Po kilku dniach to coś było gotowe. Zapadał akurat niedzielny wieczór i w kurniku dobiegał końca Dzień Żałoby. Wcześniej padało i smutne, zmokłe kury siedziały teraz w kupie, tuląc się do siebie, susząc pióra i szykując się do snu. Zakończyły właśnie żałobne wspomnianie koleżanki, która dziś została zjedzona przez watahę żarłocznych Maciulów. Uczciły jej pamięć minutą ciszy, a kiedy ta minuta minęła, Behemot zapytał łagodnie:

– No i jak tam, Esterko? Czy zniosłaś dzisiaj jajko?

– Tak, Behemocie. Chociaż bardzo się bałam, wdrapałam się do środka tej starej sieczkarni w stodole. Tam je złożyłam i ukryłam najlepiej, jak potrafiłam, ale Maciułeta zapewne i tak je odnajdą – odparła słabym głosem Estera.

– Dziękuję. Takiej właśnie odpowiedzi oczekiwałem – rzekł Behemot. – Pójdę i ja do tej sieczkarni, wlażę tam nie raz i nie dwa.

– Jesteś taki zagadkowy – wyszeptała kura Estera głosem miękkim, ciepłym, miłym i chyba trochę żółtym. – Czy ty coś planujesz, Behemocie?

– Tak. To – odparł kogut Behemot i wyciągnął zza pazuchy coś, co wyglądało jak zwykłe jajko.

– Co to jest? – zaciekawiała się Estera. – Behemocie... Zniosłaś jajko?!

– To jest jajko – wyjaśnił Behemot – ale nie zniosłem go. To nie jest takie zwykle jajko. To jajko-niespodzianka. Wybacz, ale muszę iść do stodoły, bo już się ściemnia.

Nazajutrz rano wszystkich obudziło donośne „kukuryku”. To Behemot z jakiegoś powodu darł się głośniejszym, niż zwykle. Poszedł nawet pod okno chałupy Maciulów i piał tam tak zawzięcie, że mało mu grzebień nie odpadł. Po kilku chwilach w drzwiach stanęły dzieci Maciulów. Jak zwykle nie było co jeść i matka-kretynka wysłała je po jajka na śniadanie. Chociaż były rozespane, Maciułeta sprawnie jak policjanty albo celniki obszukały wszystkie zakamarki i zaniósły do chałupy cały koszyk świeżych jajek. Wkrótce po okolicy rozszedł się duszący swąd palonego ciała, co znaczyło, że Maciuła zażyczył sobie na śniadanie jajecznicę na słoninie. Potem z otwartego okna dobiegły ciche dźwięki rozbijanych kolejno jajek, a po chwili... Piździuuu!!! Powietrze przeszyły jednocześnie huk eksplozji i ogień buchający z chałupy wszystkimi oknami i drzwiami, które wyleciały właśnie z futryn. Łubudubu bęc!!! Razem z oknami wylatywały z chałupy Maciułeta jak małe rakiety, a za każdym z nich ciągnął się niczym ogon za kometą jego nadpalony glut.

– O kurna chata! – wyrwało się Esterze. – Co to takiego? Koniec świata?!

– Nie lękaj się, najdroższa. To moje jajko-niespodzianka – powiedział Behemot, nie potrafiąc ukryć dumy i pusząc się jak kogut.

Z chałupy wybiegła, dymiąc niczym komin, do którego nasrano, Maciułowa. Maciułeta leżały tam, gdzie rzucił je los, każde gdzie indziej. Oczy tańczyły im we wszystkie strony, z rajtuz kurzyło im się, a one same krzyczały „Boli!” i, ocierając gluty rękawami, składały liczne ślubowania i przysięgi, mniej więcej w ten deseń, że jajko będzie ich bogiem a resztę swych dni spędzą pracując jako wolontariusze w schroniskach dla zwierząt i towarzystwach opieki nad zwierzętami. Roztrzęsiona Maciułowa próbowała policzyć swoje pociechy, co przychodziło jej z tym większym trudem, że i tak nie wiedziała, ile ich powinno być. Sapała przy tym, dyszała i dmuchała jak lokomotywa. Wspominaną już w tej historii część ciała miała całkowicie obnażoną i posiniaczoną, ale posiniaczoną tak sprytnie, że dałbyś sobie rękaw uciąć, iż to gumka z majtek wytrząsała ją po tyłku ze sto razy. „Boli!” – jęczała. Śladem swych pociech znikła za zakrętem. I tyle ich wszystkich widziano. Nigdy już nie pojawili się w tej okolicy.

„Nie ma, że boli!” – zakrzyknął Behemot, kiedy kurz opadł, po czym ruszył w stronę chałupy. Odpowiedziało mu trzykrotne „Nie ma! Nie ma! Nie

ma!”, po czym wszystkie kury pomaszerowały za nim, śpiewając naprzemiennie „Jeszcze kura nie zginęła” i „Wyględy powstań ludu z grzędy”. W środku, oprócz straszego bajzlu, znalazły nieprzytomnego Maciułę, kilka ocalałych jaj, spaloną patelnię i zwykle domowe sprzęty. Część kur wzięła się za sprzątanie, część odniosła odzyskane jaja na miejsce, do ciepłych i bezpiecznych gniazd. Zaś Behemot i Estera siedzieli na parapecie i spoglądali sobie w oczy, z nieśmiałości zabawnie przekrzywiając łepki.

– O czym myślisz? – gdaknęła Estera najmilej, jak potrafiła.

– Zastanawiam się – odparł Behemot – czy jakby mi się udało podpuścić Maciułę, żeby wsadził swój pusty łeb do sieczkarni, to na ile plasterków by się go udało posiekać, jakbym zakręcił korbą.

– Jesteś niezwykły – powiedziała Estera, płoniąc się urokliwie – i nie wątpię ani przez chwilę, że byłoby to tyle plasterków, ile trzeba. Musisz mi kiedyś naświetlić działanie sieczkarni. A czy opowiesz mi, jak dokonałeś tego... Tego bezprecedensowego aktu wysłania Maciułąt tam, gdzie nawet kura by nie dofrunęła?

– No, wiesz. – Behemot wzruszył ramionami. – Zwyczajnie. Wydrążony kartofel pomalowany na białą, sprężynka, dwie gumki, zawlecza z drutu, do środka trochę saletry, zgniły głąb kapuściany, kapiszony, które podwędziłem Maciułom po odpuście na świętego Pafnucego, trochę szkła i już!

Wkrótce z jajek zniesionych przez Esterkę wykuło się kilka słodkich, żółciutkich, puszystych kuleczek. A z chłopca Maciuła kury ugotowały rosół. Dla zasady, bo i tak nikt go nie chciał jeść. W sumie to ugotowały go i zapomniały o nim, bo wzięły się za oglądanie telewizji, która była opłacona jeszcze na miesiąc z góry. Więc całkowicie ugotowany Maciuła leżał w rosoli i leżał, aż mu się kury łapki porobiły. W końcu zgnił i ktoś go wyrzucił na kompost, wylądował zaraz obok kobylich pończoch swojej starej. A spod pach do dzisiaj trochę mu, mimo śmierci, śmierdzi.